

Nocniki na Sarego

Dzień zwyczajowo zaczynała pani Mordarska. Otwierały się drzwi z jednego końca pokoju i wchodziła przez nie pani Mordarska. Bez słowa. Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek powiedziała "dzień dobry" na początek, albo "dobranoc" na koniec dnia. Przez pokój szedł niewidzialny tunel, który prowadził do drzwi od korytarza prowadzącego do kuchni i ustępu z drugiego końca pokoju, nie obowiązywały w nim reguły zwykłego *savoir-vivre'u*. Ona nie patrzyła na nas a my nie patrzyliśmy na nią. Jakby była duchem. Zresztą często jeszcze byliśmy w łóżkach, zamykaliśmy tylko oczy. I Pani Mordarska znikwała. Kiedy je po chwilce otwieraliśmy, drzwi od korytarza do kuchni przymykały się cicho i pani Mordarska naprawdę za nimi znikwała. Jeszcze przez ułamek sekundy miałam uczucie, że tunel, którym przeszła, drży jej aurą, szaro-buro-brązową, bo tak była lato-zima ubrana, a potem i on znikał i pokój znowu był tylko nasz, jaśniał, weselał i można było wstawać.

Jednak mimo wzajemnego udawania, że się wzajemnie nie widzimy, ukradkiem przyglądałam się pani Mordarskiej. Poruszała się niezbyt śpiesznie, sztywna, no, i, szaro-buro-brązowa właśnie, milcząca. Gdy stawiała kroki, prawie nie unosiła nóg pod szeroką i długą za łydki spódnicą, jakby nie robiła kroku za krokiem, ale majestatycznie sunęła na niewidzialnych kółkach przez pokój. W obu rękach na wysokości piersi nieodmiennie dzierżyła zawsze tę samą piramidkę: na górze garnek przykryty talerzem, po nocy zapewne pusty, bo wieczorem zjadała, jak można było się domyślać, przygotowaną w nim kolację, następnie drewniana kwadratowa deseczka, przykryta małym pociemniałym ze starości dywanikiem, pod deseczką nocnik, zapewne po nocy pełny. Nieraz próbowałam odgadnąć, czy załatwiała do niego obie potrzeby, czy tylko pierwszą, a "na drugie" wychodziła do ustępu, czy wręcz przeciwnie, w moczu pływały grudki tego, z czego organizm nie skorzystał po przetrawieniu kolacji.

Pani Mordarska była starą panną. Do mojej dziecięcej świadomości docierały jakieś strzępki legendy, że w młodości była ładna, dumna i bogata, i "za dużo przebierała". I że potem żałowała ("*niechby pierdził w stołek, ale był!*", to jedna z niewielu, jak pamiętam, przypisywanych jej sentencji). Zajmowała pokój na lewo od wejścia, najmniejszy w całym mieszkaniu, choć w porównaniu z aktualnymi metrażami w blokach i tak spory. Okno wychodziło na nasze ciemne podwórko i znajdowało się w takim załamaniu, że nie widać było z niego ogrodu położonego za podwórkiem, i dalszych ogrodów, przyklasztornych, sióstr urszulanek. Przykryte było ciężką, długą, żółtawą firanką, więc w pokoju nigdy nie było jasno. Na zbyt wysokich jak na tak mały pokój ścianach wisiały pod sam sufit grube gobeliny, pokrywały zwłaszcza ścianę, która graniczyła z naszym pokojem i gdzie były drzwi, raz na zawsze zamknięte na amen, zawieszono tłumiącymi głosy gobelinami i zastawione szafą, na której piętrzyły się jakieś pełne rzeczy pudła i kosze. Z naszej strony drzwi te także zastawione były potężną szafą. Nikt tych drzwi za mojego całego życia w tym mieszkaniu nie otworzył. Mama mówiła, że to przez te gobeliny pani Mordarskiej w całym mieszkaniu były pluskwy i walczyła z nimi zawzięcie od czasu do czasu narzekając, bo pani Mordarska uparcie nie pozwala odkazić starych gobelinów, wedle słów mamy, wylęgarni pluskiew na całą kamienicę.

Pani Mordarska prawie nigdy z nami, dziećmi, nie rozmawiała, zresztą w ogóle była milcząca, obca i wroga. Jednak kilka razy w życiu z przyczyn, których już nie pamiętam, zaprosiła mnie do siebie i poczęstowała pomadkami. Były twarde i niesmaczne, pewnie dawno przeterminowane. Nie wiedziałam jak się zachować, czułam się skrępowana. Ona pewnie też, bo zaprosiła mnie zaledwie kilka razy. Jednak wtedy to miałam okazję zobaczyć jej pokój, zawsze posprzątany, zastawiony pojedynczym wysokim łóżkiem (przykrytym na dzień ciemną narzutą) i innymi nielicznymi meblami z poukładanymi na nich piętrowo przedmiotami, z wąską ścieżką pomiędzy nimi prowadzącą do okna. Na końcu tej ścieżki, pod samym oknem, stał przykryty deską nocnik. A więc to tu!

Po pani Mordarskiej zwykle zaczynał się ruch w pokoju pani Srokowej i po chwili przez nasz pokój przechodziła pani Srokowa. Była zupełnie inna niż pani Mordarska. Drobna, w atlasowym szlafroku w duże kolorowe kwiaty, niedługie, jasne, puszyste, lekko posiwiałe włosy ułożone w zgrabną fryzurkę z falami - przedwojenne aktorki takie nosiły... Ona naprawdę musiała być ładna w młodości. Od dawna była wdową. Jej mąż nie żył już od wielu lat, umarł chyba jeszcze przed wojną. Został po nim na tyle spory majątek, że nigdy nie pracowała. Nie mieli dzieci (nie zdążyli mieć?). Wszystko, co zostało z ich przedwojennego domu, tłoczyło się teraz w jednym pokoju.

Znacznie większym i jaśniejszym, niż pokój pani Mordarskiej, ale i tak niemiłosiernie przeładowanym. Pani Srokowa wyprzedawała w miarę potrzeby swój dobytek i z tego żyła. U niej spędzałam sporo czasu. Bywało, że pokazywała mi swoje skarby. Jej pokój wyglądał jak dobrze wyposażony, zasobny, ciasny od nadmiaru przedmiotów antykwariat. Solidne politurowane meble z jasnego drewna w stylu przedwojnia, szafy, szafki, stoły, konsole, serwantki, lustra, komody i komódki, na nich haftowane serwety i serwetki, porcelanowe wazy i figurki, kryształowe wazy, srebrne patery... na ścianach miejsce w miejsce obrazy w bogatych ramach i ramkach. Jeden z nich z boku nad łóżkiem to było zdjęcie. Z wetkniętym za szybę dużym zasuszonym brązowym liściem. Państwo Srokowie byli na pogrzebie Piłsudskiego na Wawelu i to było zdjęcie z pogrzebu a liść z wieńca.

Pani Srokowa też szła z nocnikiem. Przykrytym przykrywką. Zwykle zagadywała coś do nas, do mamy, stała tak z tym nocnikiem i coś opowiadała. Nikt nie widział w tym nic niestosownego. Nocnik był wtedy przedmiotem tak zwyczajnym dla wszystkich, że nie wzbudzał żadnych emocji. Ludzie, przynajmniej w moim świecie, używali nocną nocników, tak dorośli jak i dzieci. I tak szczęście, że mieliśmy ustęp w mieszkaniu a nie na korytarzu dzielony przez mieszkańców kilku mieszkań, jak to w mniej zamożnych krakowskich kamienicach bywało. Nocnik pani Srokowej stał u niej pod łóżkiem, niejedną raz go tam widziałam, ba, zdarzało mi się widzieć i panią Srokową na nocniku, ludzie dorośli mniej wstydzą się dzieci niż siebie nawzajem, uważają pewnie, że dzieci i tak tego nie zapamiętają. Ja zapamiętałam. Ot, zwyczajnie, pani Srokowa na nocniku, poły kolorowego szlafroka rozłożonego faliście wokół tego widoczku, spod szlafroka jakiś skrawek cienkiej koszuli nocnej. Ale kiedy raz chciałam ją podglądać, pogroziła mi palcem (*"ludzie dorośli wstydzą się nawet sami siebie, zobaczysz jak będziesz duża"*).

Pani Srokowa robiła czasami przegląd swojego pokoju. Być może decydowała wtedy, co sprzedać. Wyjmowała z szaf pudła ze srebrnymi sztućcami, biżuterię, zastawę, porcelanowe cudeńka. Przeglądała, układała, czyściła. Asystowałam jej z najwyższą uwagą. W powojennej Polsce dużo było przedmiotów brzydkich, tanich, zniszczonych, pokój pani Srokowej to był prawdziwy szampan. Pokazywała mi leżącą się torebkę ze srebrnych oczek i opowiadała o przedwojennych balach. Marzyłam o takiej torebce przez całe dzieciństwo. Ale spełniłam sobie to marzenie dopiero w życiu całkiem dorosłym. Kiedy parę lat po wyprowadzeniu się z tamtego mieszkania już jako zaawansowana nastolatka odwiedziłam panią Srokową, żeby kupić od niej tę torebkę i przyniosłam jej "zaoszczędzone" na szkolnych obiadach 300 złotych, co wydawało mi się sumą niebotyczną, okazało się, że to za mało.

Do zwyczajów pani Srokowej należało i to, że regularnie chodziła na cmentarz Rakowicki, na grób męża. Kiedyś mama pokazała mi ten grób. Czarna, elegancka, marmurowa płyta. Wypolerowana, błyszcząca. Tak jak o nagrobną płytę męża, tak i o swoje parkiety pani Srokowa bardzo dbała. Gdy myślę o niej, to albo widzę ją z nocnikiem, albo przekładającą swoje skarby, albo na kolanach wiórującą podłogi jako ukoronowanie wiosennych porządków. Miały lśnić. I rzeczywiście, w jej pokoju lśniły, czego nie można powiedzieć o innych pokojach. Czyściła, pastowała, glansowała. I tak w kółko. Wieczorami zaś nawijała owies w złotka. Tak, tak, to było jej zajęcie na całe wieczory. Siedząc już w łóżku słuchała "Matysiaków" i starannie, ziarenko po ziarenku, ostrożnie, żeby się nie oderwało od łożki, robiła ze zwykłego owsa niezwykle bukiety. Czasami jednokolorowe, czasami wielobarwne. W sztucznym świetle, drgające od najmniejszego podmuchu powietrza, wyglądały bajecznie. Stały w jej licznych wazonach i flakonikach powielane przez lustra. Pokój był jak zaczarowany. Obdarowywała nimi ludzi. A ludzie zbierali dla niej złotka z czekolad i czekoladek. My też.

Pokój na prawo od wejścia, przylegający do pokoju pani Srokowej i tak samo duży zajmowała rodzina Kitów [1]. Oba pokoje połączone były drzwiami również zamkniętymi na mur jak te między pokojem pani Mordarskiej i naszym, i zastawionymi od strony pokoju pani Srokowej pękatą szafą, zaś od strony państwa Kitów zasłoniętymi gobelinem powieszonym nad stojącym tam łóżkiem pana Kity-seniora, "dziadka Kity", jak go wszyscy nazywaliśmy. Ponadto cały pokój Kitów poprzedzielany był zasłonami na różne "sektory", bo w pokoju tym oprócz dziadka mieszkał jego syn, pan Kita z żoną (mieli podwójne, małżeńskie łóżko z obowiązkowymi nakastlikami, pod ścianą naprzeciwko łóżka dziadka), oraz jego niezamężna jeszcze wtedy córka, siostra pana Kity (łóżko w nogach łóżka dziadka). Państwo Kitowie (my, dzieci, mówiliśmy: "państwo Kici"), mieli dwóch malutkich, młodszych ode mnie synów, z którymi całe moje dzieciństwo się bawiłam. W sumie pokój zajmowały cztery dorosłe osoby i dwoje

małych dzieci. Poprzedzielany zasłonami mieścił łóżka dla wszystkich, reszta miejsca zastawiona była szafami, pamiętam jakiś prostokątny stół pod oknem, oraz wydzielone przy drzwiach szczelnie pozasłaniane miejsce do mycia.

Państwo Kitowie zazwyczaj przechodzili przez nasz pokój gęsiego, rządkiem. Rano każde dzierżyło w rękach nocniki, miednice, garnki, garnuszki... Defilowali przed nami na milczka, bo byliśmy ze sobą skłóceni na wieki. To znaczy dorośli byli, bo my, dzieci, nie, my bawiliśmy się ze sobą w najlepsze. Innych dzieci nie było. Mieliśmy tylko siebie. Mama z czasem zaczęła rozmawiać z panią Kitową. Pan Kita i nasz tato nie odezwali się do siebie nigdy, chyba że nie było innego wyjścia. A poszło o ten ich pokój właśnie. Początkowo bowiem był to nasz pokój. Tato go jakimś cudem zdobył, gdy kilka lat po wojnie wrócił do rodzinnego Krakowa z Wrocławia, gdzie zostawił przydzielony mu poniemiecki dom, który nie pomógł na tęsknotę. Tato zajął pokój i był w trakcie starania się o przydział, gdy któregoś dnia przyszedł pan Kita w asyście jakichś oficjeli, okazał swój przydział i nakazał moim świeżo poślubionym rodzicom z małym dzieckiem (mną) i dwiema kilkuletnimi córkami taty z pierwszego małżeństwa wyprowadzenie się (potem, ciągle w tym samym miejscu, dokooptowała do nas, tzn. przyszła na świat, moja młodsza siostra). Zdaje się, że doszło nawet do szarpaniny.

I tak wylądowaliśmy w naszym pokoju przechodnim. Ogromnym. Przynajmniej jak na moje dziecięce odczucie przestrzeni. Koszmar dla moich rodziców i niezliczona ilość niezwykłych wrażeń i doświadczeń dla mnie. Pani Mordarska nauczyła mnie, że nie chcę być taka jak ona, zgorzknienie nie może być sensem życia. Państwo Kitowie, żeby trzymać się z dala od natłoku ludzi. A pani Srokowa, że nawet w ciężkich powojennych warunkach można cenić piękno i styl. Książki - dopełnienie moich dziecięcych standardów - były w każdym wolnym kątku w naszym pokoju... Nocniki zaś były zwykłymi przedmiotami codziennego użytku. Nic szczególnego.

Gdy miałam 4 lata, deklarowałam poślubienie 2-letniego wtedy Marka Kity, był ślicznym chłopcem o zmysłowych pełnych ustach... Że dzieci tego nie dostrzegają? I jak! Do dziś lubię zmysłowe pełne usta u mężczyzn. Dzieci dostrzegają znacznie więcej, niż im się przypisuje. To dorośli zapominają siebie jak byli dziećmi. Gdyby nie zapominali, wiedzieliby o sobie znacznie więcej. Dlaczego są jacy są: Jako kilkulatek zaczęłam zbierać książki - najpierw te z serii "Poczytaj mi mamo", potem te, które czytałam sobie sama - dziś mam cenny księgozbiór, jako 11-latka zaczęłam zbierać zdjęcia gwiazd filmowych, Sophii Loren, Marylin Monroe, Brigitte Bardot, Elizabeth Taylor, "najpiękniejszej kobiety świata"... do dziś lubię piękne kobiety. Jako podłotek zaczęłam zbierać biżuterię, potem inne piękne przedmioty..., dziś..., ...dziś mogłabym jak pani Srokowa przekazać jakiemuś dziecku to coś, co zaczęło się we mnie w pełnym ludzi, książek i nocników przepastnym mieszkaniu na Sarego, tuż pod Wawelem...